Cena 18 fen. — 13 cent.

Nr. 21. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Listopada 1896. **Nr. 21.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

Tu zamilkła, wyczerpana długiem mówieniem. Powieki jej opuściły się, zasłaniając gorączkowo błyszczące źrenice, ale na całej twarzy rozlał się wyraz wewnętrznego uspokojenia. Nigdy jeszcze nie wydała się równie piękną Franciszkowi jak w owej chwili. To też nie mógł oderwać wzroku od rysów, które tak niedawno jeszcze brał za zwierciadło wielkiej i pięknej duszy.

Wyraz surowości zniknął z jego twarzy, oczy odzyskały zwykłą łagodność, a w słowach któremi chciał przemówić do Edyty, po skończeniu jej spowiedzi, nie byłoby już i cienia wymówki. Ale ona uprzedziła go znowu, odzywając się:

— O Franciszku! wstrzymaj się na teraz z wyrzeczeniem na mnie ostatecznego wyroku. W tej chwili nie wypada nam myśleć o sobie, tylko o Beacie. Poprzysięgłam sobie, że nie spocznę wprzód, aż jej zapewnię miejsce w sercu i domu jej dziadka, co jej chciałam wydrzeć. Skoro cel mój zostanie osiągniętym, wtedy dopiero raz jeszcze pomówimy z sobą przed rozstaniem. Wszakże zgodzisz się na to?

— Masz słuszność Edyto! — odparł z powagą, — przedewszystkiem wypada nam teraz zająć się Beatą. Możesz być pewną mojej pomocy i przekonasz się, że jej daremnie nie wzywałaś. Natychmiast więc rozpocznę potrzebne kroki; najlepiej będzie użyć pośrednictwa ambasady, dla zapewnienia Beacie stósowniejszej opieki.

— A wujaszek Bill? — zapytała Edyta.

— Przez wzgląd na ciebie, będę się starał o ile można oszczędzać go.

Dreszcz zatrząsł ciałem Edyty, Franciszek spostrzegł to i dodał z uczuciem:

— Jesteś zbyt osłabioną...

Edyta podziękowała mu spojrzeniem pełnem niewymownej wdzięczności. Siły rzeczywiście zaczęły ją do tego stopnia opuszczać, że przestraszony Franciszek pobiegł zawołać Pauli.

Ta ostatnia została naturalnie wtajemniczoną we wszystko, a jej rada okazała się równie rozsądną, jak i korzystną dla wszystkich.

Ale nim jeszcze zdołano przystąpić do odpowiednich kroków, list Billa, naj-

niespodzianiej nadesłany z Londynu, nadał zupełnie odmienny obrót całej sprawie.

Przemyślny irlandczyk, zniecierpliwiony zbyt długiem milczeniem siostrzenicy, na gwałt domagał się od niej wiadomości, pisząc zarazem, że dla łatwiejszego porozumiewania się z nią, postanowił przybyć z Beatą do Anglii.

»Twoja biedna, schorowana siostrzyczka — pisał — może być równie dobrze pielęgnowaną w Londynie, jak w Nowym Orleanie; nikt tam nie przerwie jej samotności, którą tak bardzo polubiła. Ale ja za to będę bliżej ciebie, mogę ci w razie potrzeby udzielić prędko pomocy lub rady. Tęskno mi bardzo do ciebie, a że przeklęta podagra mniej mnie trochę dręczy, niezwłocznie wybiorę się w drogę. Mniej więcej wraz z odejściem tego listu podniesiemy kotwicę, ale przybędziemy zapewne nierównie później, bo tacy ostrożni i biedni ludzie jak twój wujaszek, nie rozciągają się po parowcach pocztowych, ale muszą za tanie pieniądze płynąć na towarowym okręcie.

»Wcale to nam jednak nie przeszkodzi wygodnie dostać się do starej Anglii, co z powodu ciągłego cherlania małej jest bardzo pożądane.

»Około 15-go tego miesiąca zawiniemy do lądu, gdzie spodziewam się zastać twój list, pod adresem wiadomego ci przyjaciela«.

Edyta dobrze wiedziała, jakich wiadomości od niej się spodziewano. W milczeniu podała odebrany list Franciszkowi i rzekła:

— Wolę sama zawieść owe wiadomości wujowi. Jutro wybieram się w drogę.

— A ja wraz z Paulą będę ci towarzyszył! — domówił Franciszek.

Edyta utkwiła wzrok w jego twarzy, jakby chcąc się przekonać, czy i on jej nie ufał.

Nie wypowiedziała jednak swej wątpliwości, poddając się jego rozrządzeniu.

II.

U celu.

Lekki wietrzyk od strony morza szemrał tajemniczo pomiędzy drzewami, otaczającemi nadbrzeżną rybacką chatę.

W nizkiem okienku siedziała młoda dziewczyna, zasłuchana w posępnej harmonii.

Postać dziewczyny dziwnie odbijała od jej otoczenia; przypominała ona wysmukły kwiat lotusu zasadzony pomiędzy grzędami warzywa. Najwidoczniej była przyzwyczajona do zupełnie odmiennych warunków bytu, i za nimi to musiało tęsknić to blade, delikatne dziecko. Schorowane oblicze nie przypominało nawet owego pączka dziewiczej piękności, który siostra Klemencya hodowała niegdyś z takiem staraniem, w klasztornym ogrodzie w Rio-Janeiro. Powiew nieszczęścia okrutnie obszedł się z tą wiotką rośliną, zimny szron powstrzymał jej rozwinięcie. Beata przyzwyczajona od lat najmłodszych do słuchania woli starszych, została w ręku Billa powolnem narzędziem jego planów; jego pozorna dobroć nie budziła w niej nawet myśli oporu, ani chęci samodzielnego działania.

Przyczyniała się do tej bierności jej choroba i zupełny upadek sił fizycznych. Przez długi czas była zajęta jedynie dwoma myślami, to jest chęcią powrócenia do klasztoru i wdzięcznością, jaką była winna Billowi i jego siostrzenicy. Wdzięczność ta w jej sercu nie znała granic; ona czciła tych poczciwych ludzi, którzy z taką miłością przygarnęli do siebie sierotę i zajmowali się bezinteresownie pielęgnowaniem jej w chorobie. Wszakże to oni przyrzekli odwieźć ją do Niemiec i powrócić dziadkowi. Byłaby wolała wprawdzie odjechać do klasztoru i dziwiła się, że jej ztamtąd na żaden z jej błagalnych listów dotąd nie odpisywano. Ten, który byłby w stanie wyjaśnić jej tę zagadkę, wolał korzystać ze złudzenia biednego dziecka, które z całą wdzięcznością tuliło się do oszusta, nie wiedząc jak lichej wartości była owa podpora, której się chwyciła.

Szanowny wujaszek Edyty był zbyt przebiegłym, ażeby miał wzbudzić na-

wet cień podejrzenia, co do prawości swoich zamiarów; będąc przyzwyczajonym do udawania, jako doświadczony filut, umiał bez trudności odegrać rolę starego poczciwca.

Beata nie wiedziała, że kapitał pozostały po jej ojcu służył teraz na utrzymanie Billówi i na opłacanie kosztów podróży miss Frinksly. Starała się więc być jaknajskromniejszą w swoich wymaganiach, oczekując z tęsknotą pomyślnej wiadomości z Europy, ażeby przestać nareszcie być ciężarem dobremu człowiekowi.

To też usłyszawszy od Billa o zamierzonej podróży, nie posiadała się z radości; obsypywała podziękowaniami zacnego dobroczyńcę, który dla niej wystawiał się na taką ofiarę.

Bez najmniejszego oporu opuszczała miejsce, gdzie utraciła ojca, gdzie pozostawiała za sobą ostatni port ocalenia — klasztor w Rio Janeiro. Z anielską cierpliwością znosiła niewygody długiej morskiej podróży na starym żaglowym okręcie. Nie narzekała nigdy a nawet i teraz, kiedy musiała zamieszkać w skromnej, rybackiej chacie, pomiędzy ludźmi których języka nie rozumiała. Nie narzekała, tylko ciężki smutek gnębił jej duszę, jakaś niewysłowiona tęsknota nie przestawała jej udręczać, budząc w dziewczęciu poraz pierwszy rodzaj nieufności. Rozczarowanie jakiego doznała w skutek przedłużonego pobytu na ustronnem wybrzeżu Anglii, pobudziło ją do rozwagi. Wątpliwość była okropną dla niej i nie mogąc się jeszcze zdobyć na jakieś postanowienie, wzywała w duszy Opatrzności, ażeby jej nie opuszczała.

Wujaszek Bill potrafił skorzystać nawet i z tej okoliczności; umiał oszukać Beatę i zwieźć wszystkich ludzi, opowiadając, że to jest jego siostrzenica, która w skutek długiej choroby straciła umysłowe zdrowie. W ten sposób żałowano go podwójnie i z pewną obawą odsuwano się od nieszczęśliwej istoty.

Tak stały okoliczności na owem wybrzeżu Anglii, które było wygnaniem dla Beaty, dla Billa zaś nowym punktem strategicznym, gdzie zamyślił rozpocząć działania przeciwko Edycie. Powziął on podejrzenie, że siostrzenica mogła go oszukać; skoro więc umieścił Beatę w chacie rybackiej, pojechał do Londynu, ażeby zapytać się swojego ajenta i wspólnika, pod którego adresem zwykle odbierał wiadomości, czy nie było listu od Edyty. Nie zastawszy listu, ze wściekłością w duszy powrócił na wybrzeże, gdzie udawał wysłużonego majtka handlowej marynarki, szukającego wypoczynku dla siebie i zdrowszego powietrza dla siostrzenicy.

Nie był on naówczas owym wykwintnym gentlemenem, który odwoził Edytę do zakładu pani Sternsky, ale w prostej marynarskiej odzieży, z klątwą na ustach, buchających dymem najobrzydliwszego tytuniu, był dalekim od wzbudzenia ufności, nawet w tak łatwowiernej istocie jaką była Beata. Z widoczną niechęcią spoglądał on co chwila w stronę chaty rybackiej, gdzie mu się ukazywała w oknie bledziuchna twarzyczka jego ofiary. Głos jej łagodny i dźwięczny dolatywał go, gdyż sierota przypomniawszy sobie pieśń do Najświętszej Panny: Dios te salve Estrella hermosa... śpiewała ją teraz. Ale Bill nie rozczulił się łzawymi tonami, jakie drgały w jej głosie, przeciwnie, pomruknął do siebie:

— Ach! do licha, jakże mi się zaczyna przykrzeć ta schorowana gąska. Co tu z nią począć? Pieniądze jej ojca niezadługo się wyczerpią, a dotąd jakoś nie widzę jeszcze owej kopalni złota, którą mi Edyta miała otworzyć. Oj! ta filutka, czy nie myśli mnie tu zostawić z tą płaczącą wierzbą? Doprawdy ślicznegoby mi figielka spłatała. Ha! w takim razie musiałbym chyba sam poszukać sobie drogi do domu, a moję małą płaksę pozostawić na karku starej rybaczce. Niechby tam sobie z nią radziła! Ta Edyta to istny szatan, nie powinienem był tak jej zaufać. Dawno już byłbym jej przykrócił cugielków, gdyby nie ta przeklęta podagra, która ze mnie zrobiła istnego niedołęgę. Trzeba się dobrze zastanowić, co dalej począć!

Tak rozmawiając z sobą wujaszek Bill, oddalał się zwolna od wybrzeża, skierowawszy kroki ku karczmie znajdującej się wśród wioski, dla nabrania w kieliszku nowej fantazyi i siły do działania. Już znajdował się prawie u kresu swojej drogi, a wiecha karczemna mignęła mu tuż przed oczyma, kiedy nagle na wązkiej ścieżce potrącił przypadkiem jakąś postać kobiecą. Postać ta zatrzymała się, wyciągając do niego rękę. I jemu podobnież jedna minuta wystarczyła do poznania, że miał przed sobą tę, która tak mąciła mu myśli.

— Edy! — zawołał z podziwieniem i radością. — A ty zkąd się tu wzięłaś?

— Najprostszym w świecie sposobem. Szukałam cię, mój wuju, a nasz londyński przyjaciel powiedział mi, gdzie cię znaleźć.

Usiłowała mówić spokojnie, ale bystre ucho Billa rozpoznało niebawem wysilenie jej głosu. Zaniepokoiło go to, nie tracąc więc czasu na czułe powitania, zagadnął odrazu:

— A jakże tam stoi nasza sprawa?

— Doskonale! — odpowiedziała mu tym samym tonem. — Droga do domu i serca dziadka stoi otworem przed Beatą de Silvo. Czy ona jest tu wraz z tobą?

— A jakże! jest; — odpowiedział z lekceważeniem, dodając półgłosem — a więc widocznie udała ci się sztuczka, dzielna dziewczyno!

Po tych słowach zatarł ręce z uciechą; nagle jednak dodał nieco podejrzliwiej:

— Ale dlaczegóż tak długo nie dawałaś mi znać o sobie, Edy?

— Dlatego, że byłam chora, bardzo chora, nawet blizka śmierci, wujaszku.

Zwrócili się znowu drogą wiodącą ku chacie, prowadząc dalej rozmowę. Bill spojrzał w twarz zwróconą ku sobie, na której, pomimo koronkowej zasłony i zapadającego mroku, dostrzegł ślady przebytej choroby, ale dopiero wtenczas rozpoznał je najwyraźniej, kiedy Edyta odrzuciła zasłonę. Przeląkł się i zawołał z pewnem wzruszeniem:

— Jak też ty mizernie wyglądasz dziewczyno! Cóż się z tobą stało? Czyś miała tak ciężkie przejścia z tymi oszustami, polującymi na sukcesyą po starym skąpcu?

— Ani słowa wuju! — odrzekła Edyta. — Nie bluźnij przeciwko ludziom, którzy mię jak siostrę przyjęli do domu i pielęgnowali w chorobie z miłością, jakiej nigdy nie zaznałam w życiu!

Bill spojrzał z powątpiewaniem na siostrzenicę, wyraz jej twarzy coraz bardziej zaczął mu się niepodobać. Odezwał się niechętnie:

— Co mi tam będziesz prawiła jakieś zagadki, mów wyraźnie!

— A więc dobrze, powiem ci czystą prawdę, mój wuju, wysłuchaj mię tylko z rozwagą. Pisałam ci, że trudno mi było dostać się do starego Hohenhofena z powodu jego pasierba i synowicy, którzy go pilnują zazdrośnie w samolubnym celu. Otóż wiedzieć ci trzeba, że właśnie ci ludzie, Franciszek i Paula, są największymi przyjaciołmi Beaty. Obsypali mię dowodami swej dobroci. Przydały mi się też one bardzo, bo ciągłe udawanie wyczerpało moje siły. Rozchorowałam się i przez parę tygodni pozostawałam między życiem a śmiercią. Dzięki najczulszej troskliwości powróciłam do życia, a raczej rozpoczęłam nowe życie, mój wuju! Nad brzegiem grobu otworzył się dla mnie świat zupełnie nowy, świat o jakim ani ty, ani nikt nie mówił ze mną nigdy. Przezacni moi opiekunowie nauczyli mię więcej czynami niż słowy, że celem naszego życia nie są same doczesne korzyści. Uwierzyłam w to przekonanie i w uniesieniu wdzięczności wyznałam prawdę, całą prawdę!

Bill z osłupieniem spoglądał na Edytę; przemawiała ona do niego dziwnym językiem; ostatnie jednak jej wyrazy zrozumiał i pojął z szybkością błyskawicy. Wprawiły go one w dziką wściekłość. Pochwycił gwałtownie ręce Edyty i ściskając je do krwi prawie, krzyknął:

— A więc zdradziłaś mię niegodnie i w napadzie sentymentalnej głupoty wypuściłaś z rąk najpiękniejszy interes,

który ci powierzyłem do wyzyskania. Jeżeli jeszcze możesz się zdobyć na rozumniejsze słowo, to mów, albo...

— Albo pchniesz tam w głębinę morską jedyne dziecię twojej siostry! — dokończyła Edyta, z wymuszonym spokojem, świadczącym o niepowściągnionej sile jej młodzieńczej odwagi. Wielkie niebezpieczeństwo, zagrażające tak blizko, dodawało jej siły do walczenia na cześć tej prawdy, która teraz stała się dla niej tak drogą.

Tuż u jej nóg ryczały bałwany morskie, droga naokoło była zupełnie pusta i tylko w oddaleniu błyszczało słabe światło z okien owej chaty, w której więzioną była Beata. Obok niej znajdował się Bill, gotowy do spełnienia występku; dość było jednego popchnięcia, ażeby potoczyć się w bezdenną otchłań, z której niktby nie dosłyszał wołania o pomoc. Trzeba było zdobyć się na czyn stanowczy, dla zgnębienia zamysłów zbrodniarza. Dopięła tego celu własną energią; nie oddalając się na krok od prawdy, odezwała się znowu:

— A więc miałbyś ochotę pchnąć mię w morze? to by ci się na nic przydało, wujaszku... Krewni Beaty znajdują się ztąd niedaleko, wkrótce będą w chacie rybaczki, gdzie Beatę umieściłeś.

— Ha, żmijo! — ryknął Bill, puszczając nagle ręce Edyty i odpychając ją od siebie; — a więc dla twoich nowych przyjaciół zdradziłaś tego, który cię wyciągnął z nędzy! Widzę, co się święci. Żadnej kobiecie ufać nie można, wszystkie jesteście nędzne i słabe! I ty także dałaś się opętać temu głupstwu, zwanemu miłością. Pokochałaś tego Ostitza, opanowałaś go wzajemnie twojemi wdziękami i myślisz zażartować sobie ze starego wuja, zostawszy wielką panią. Niech tam licho porwie dobrodusznego głupca! Ha! ha! ha! wdzięczność należy się tylko nowym przyjaciołom, starzy niech tam sobie przepadną, skoro nam już nie są potrzebni.

Edyta, odepchnięta, z trudnością powstrzymała się od upadku, ale na wspomnienie Franciszka krwawy rumieniec wystąpił na jej twarz pobladłą.

— A co! czy nie zgadłem? — wybuchnął szydersko Bill, który spostrzegł to pomięszanie. — Ale poczekaj żmijo! już ja znajdę sposób pomszczenia się. Idź gdzie zechcesz, ja wszędzie trafię za tobą, ażeby cię zepchnąć z twej wysokości i zatruć twoje szczęście!

— Moje szczęście! — powtórzyła Edyta głosem żałosnym. — To co nazywasz szczęściem, nigdy zapewne nie spotka mię w życiu. Ale nie skłamałeś: kocham Franciszka i dlatego nie czułam się godną zostać jego żoną.

W chwili kiedy wyznawałam prawdę, wiedziałam, iż tracę nierównie większe szczęście aniżeli majątek i znaczenie, któremi mię skusiłeś do złego. Wiedziałam o tem, a jednak poświęciłam wszystko na okup mojej winy. Raz stanąwszy na prawej drodze, nigdy jej już nie opuszczę. Nigdy także nie zapomnę o wdzięczności, jaką ci jestem winna; uczciwą pracą będę się starała zarobić tyle, aby cię na starość uchronić od nędzy. Dlaczegóż mi zarzucasz zdradę? Czyliż usiłowałam cię podejść chytrością? Czyż nie powróciłam do ciebie? Teraz jesteś wolny od wszelkiej odpowiedzialności, ponieważ oszukaństwo nie zostało jeszcze spełnione: tylko Ten co przenika myśli ludzkie ma prawo cię sądzić. Powróć zatem Beatę jej krewnym i wierz mi...

— Ja mam ci wierzyć, niegodziwa! przerwał Bill niezdolny powściągnąć gniewu. Nie będę już drugi raz tyle głupim, żebym miał liczyć na nędzną, rozkochaną dziewczynę! O! nie, stokroć nie, pomimo wszystkich gładkich słówek, nie dokażesz tej sztuki, ażebyś starego wróbla miała złapać na plewy. Popsułaś sprawę i możesz się sama nacieszyć skutkami twojego rozumu. Mnie możesz wypuścić z rachunku. Będę ci się tylko przyglądał zdaleka. A pamiętaj, żebyś sobie przypomniała o wdzięczności; bądź przekonana, że cię znajdę. Powtarzam ci raz jeszcze, że zatruję twoje szczęście!

Po tych wyrazach Bill zniknął w ciemności. Edyta przycisnęła rękoma gwałtownie bijące serce i gorzkie łzy boleści spłynęły po jej twarzy. Nie pozostawało jej wiele czasu do oddawania się bezczynnej boleści. Spiesznie puściła się wązką ścieżką ku chacie rybackiej; i za chwilę znalazła się przed jej drzwiami.

(Dokończenie nastąpi.)

Człowiek i zwierzę pod względem zmysłów.

Pod względem zdolności naszych zmysłów i ich rozwinięcia, przewyższają nas o wiele niektóre zwierzęta. Jeżeli naprzykład u pewnych niższych gatunków zwierząt wzrok i słuch ich, w porównaniu z naszym, jest zaledwie rozwiniętym, to znowu u ptaków bystrość wzroku prześciga o wiele najlepsze oko człowieka.

Zawieszony pod obłokami sokół widzi doskonale skowronka na bruździe ziemi tejże barwy co ptaszę, a więc widzi z odległości kilkadziesiąt razy większej od tej, z jakiej mógłby dostrzedz człowiek. Kania, szybująca w przestrzeniach niedościgłych dla oka naszego, widzi jaszczurki, myszy, drobne ptaszki i rzuca się na nie, jak na łup upatrzony.

Owady znowu mają w bardzo słabym stopniu rozwiniętą władzę słuchu. Bardzo często — opowiada sir John Lubbock — zbliżywszy się do spokojnie siedzącej mrówki, wydobywałem jak tylko mogłem najostrzejsze tony, posługując się fletem, gwizdawką, skrzypcami i własnym głosem — wszystko jednak napróżno. Pomimo to nie mogę przypuścić, aby mrówki były głuche, jakkolwiek zdaje się, iż dźwięki słyszalne dla nich różnią się wielce od dźwięków dających się ująć naszym uchem. Wiemy, że pewne owady skrzydlate wydają chrzęst pocierając o siebie pierścienie brzuszne; zdaje się, że i mrówki wydają chrzęsty podobne, jakkolwiek my ich nie słyszymy. Obszar brzmień dających się ująć uchem ludzkiem jest bardzo ograniczony. Wszechświat jest pełnym dźwięków ginących dla nas bezpowrotnie.

Słuch jednak w wyższym niż u człowieka stopniu jest rozwiniętym u sowy i innych ptaków nocnych. Zmysł słuchu jest nadzwyczaj rozwinięty u czworonożnych trawożernych. Łoś naprzykład, choć nie celuje szybkością nóg, uniknąć może nieprzyjaciela dzięki niezwykłej subtelności organu słuchowego. To samo da się powiedzieć o jeleniu, a poczęści o koniu, foce i delfinach.

Najdoskonalszy słuch znamy u kota. Lenz opowiada, że kiedy usiadł na ławce by czytać, wspiął się nań, miaucząc, mały kociak, chcąc pospacerować sobie wedle zwyczaju, po nogach jego i głowie. Ponieważ mu czytać przeszkadzał, położył go na poduszeczkę, gdzie też niebawem kociak usnął. Głowa i uszy kotka zwrócone były ku południowi. Naraz Lenz ujrzał go zeskakującego szybko w tył. Zdziwiony zaczął gonić kociaka wzrokiem: maleńka myszka przelatywała właśnie pomiędzy dwoma krzaczkami. Mysz biegła po twardym gruncie, nie mogącym zdradzić jej obecności; od kota, który ją pomimo to usłyszał, oddzielała ją przestrzeń czternastu metrów.

Zmysł dotykania różnym bywa u różnych zwierząt; kiedy u niższych gatunków są zaledwie jego ślady, u wyższych lokalizuje się zwykle w pewnej lub kilku częściach ciała i dochodzi nieraz do zadziwiającej doskonałości.

Węch, który u kota jest bardzo słaby, nagradzają mu wąsy, działające znakomicie jako organa dotykowe. Mysz ukrytą w ręku trzeba mu przytknąć do samego nosa, by poczuł jej zapach. Natomiast wąsy jego są tak czułe, iż dość musnąć zlekka jeden włosek, by zwierzę w tył odskoczyło.

U ptaków zmysł dotykania zdaje się być skupionym w łapach i dziobie. Widoczne to jest zwłaszcza u drapieżnych, posługujących się szponami do pochwytywania zdobyczy. U kaczek znowu, bekasów, krzyków, grzebiących długim dziobem w mule, koniec szczęki jest miękki i pokryty skórą błoniastą, nadzwyczaj czułą na dotknięcie.

Zmysł ten u czworonożnych zdaje się również mieścić głównie w łapach i paszczy, z wyjątkiem słonia, którego trąba obdarzona jest czułością ręki ludzkiej i w zupełności mu ją zastępuje. Delikatność jednak wszystkich tych organów jest niczem w porównaniu z czułością, jaką obdarzone są błony skrzydłowe i uszy nietoperza. Czułość tych organów jest tak cudowna, iż zastępuje oczy i pozwala nietoperzowi wyminąć, w krętym jego a prędkim locie, najlżejsze nawet przeszkody.

Spallanzani zauważył, że oślepiony nawet nietoperz latać będzie wybornie po przejściach najbardziej krętych, nie potrąciwszy ani razu o mur, lub inną zawadę. W tym stanie omijają nawet nitki jedwabne, poprzeciągane umyślnie w miejscach po których latają.

Węch, jako zdolność zmysłowa, bardzo małą gra rolę w naszem życiu umysłowem, jest niezmiernie jednak ważny u znacznej liczby zwierząt niższych, a nawet u plemion mniej ucywilizowanych.

Węch, który u robaków wcale, a u ślimaków bardzo mało jest rozwinięty, gra ważną bardzo rolę u mrówek. Węchem to one odnajdują sobie drogę i rządzą się w codziennych swoich zajęciach. Jeden z badaczy pisze: »Bardzo często usuwałem wszelki ślad pewnych zapachów i widziałem jak mrówki zakłopotane, wybiegając przed inne, szukały owego zatraconego przewodnika. Utorowawszy sobie nową drogę, trzymały się jej, choć była o wiele dłuższa niż pierwsza«.

Pszczoły, jakoteż motyle, siadają na pewnej odmianie i przez pewien czas jej tylko pilnują, z niej tylko wysysają miody. Pszczoła, która usiędzie raz na gieranii szkarłatnej, nie przejdzie zaraz na inną jej odmianę, chociażby ta rosła tuż przy pierwszej. Nie zauważyłem nigdy, aby pszczoła przeleciała z lilii na amarylę lub odwrotnie.

Przyrodnik angielski Gall pisze o motylach: »Służący moi indyanie nosili zawsze z sobą ciasto zaczynione z mąki kukurydzowej, które pomięszane z wodą dostarczało im napoju gęstego jak kleik. Po przybyciu naszem nad brzeg strumienia i otworzeniu puszki z ciastem, zauważyłem wielokrotnie, jak z wiatrem przylatywały świetne motyle, choć przed chwilą wcale ich widać nie było. W ten sposób zebrałem najpiękniejsze ich okazy. Tak samo ciągną do zapachu przejrzałego banana.«

Zbieracze motyli nocnych wiedzą dobrze, że dość zamknąć w pudełku samicę, by przywabić do niej kiku samców z odległości bardzo nawet dalekich.

O węchu ryb pisze pewien Francuz: »Zmysł ten możnaby nazwać ich rzeczywistem okiem, nim bowiem wykrywają zdobycz lub nieprzyjaciół z niezmiernych odległości. Węchem tylko kierują się w nieprzeniknionych ciemnościach i najbardziej wzburzonych odmętach. Rozciągłość błony, na której rozpostarty jest nerw węchowy u rekina, mającego dwadzieścia pięć stóp, dochodzi do dwunastu stóp kwadratowych.«

Mniej rozwinięty u ptaków węch, jest bardzo czuły u wielu czworonożnych dzikich i domowych. Dzięki doskonałości tego zmysłu wielbląd przebiegając pustynię wietrzy na milę sąsiedztwo wody. To samo da się powiedzieć o żabach. Jeżeli po za jakim murem lub palisadą znajduje się bagno, to żaby gromadzić się będą przy murze, z pyszczkiem zwróconym ku przeczuwanej wodzie; przerzucone przez mur podążą natychmiast do bagna.

Zbytecznie mówić o delikatności węchu psa, wietrzącego zwierzynę, poznającego pana swego na ulicy, śród najliczniejszych tłumów. Doktor Huggins miał psa, który przejęty był dziwnym wstrętem do rzeźników i jatek. Rzecz dziwna, że pies wstręt ten odziedziczył

po życiodawcy swoim. Wstręt ten był tak silnym, że pies zrywał się formalnie z łańcucha, ilekroć przejeżdżał w pobliżu wóz rzeźniczy. Poznawał rzeźnika, choćby ten był przebrany.

Niemniej godnem uwagi jest to, co Darwin pisze o węchu konia. »Kilka lat temu podróżowałem pocztą, a zaledwie przybyłem przed oberżę, pocztylion zatrzymał konie na kilkanaście sekund. To samo uczynił przed drugą i trzecią oberżą, wówczas spytałem o powód. Wskazał mi klacz z prawej strony, która oddawna była zupelnie ślepą, teraz zaś zatrzymywała się na wszystkich miejscach drogi, na których zatrzymywała się dawniej. Pocztylion przekonał się, iż mniej traci czasu zatrzymując karetkę, niż zmuszając klacz do wyminięcia oberży, przystanek jej bowiem trwał ledwie kilka sekund.«

Widocznem było, że klacz rozpoznawała dokładnie wszystkie oberże po drodze, nim jeszcze pocztylion wstrzymał inne konie. Nie można wątpić, kończy Darwin, że klacz rozpoznawała wszystkie te budynki za pomocą węchu.

Zdaje się jednak być rzeczą pewną, że większa ilość czynności, spełnianych przez zwierzęta przy odnajdywaniu drogi do punktów bardzo oddalonych, nie da się objaśnić za pomocą rozpatrywanych przez nas dotąd zmysłów, bądź pojedyńczo, bądź w połączeniu z sobą. W jakiż sposób naprzykład kot, pies lub koń potrafią w krótkim przeciągu czasu powrócić do domu, przebiegając nieznaną sobie zupełnie okolicę, lub drogę po której poprzednio nigdy nie chodziły? Jakim cudem ptak wędrowny kieruje się przez morza, i z odległości tysięcy mil powraca pod tę samą strzechę, okno, lub na to samo drzewo, gdzie przeszłej wiosny zbudował sobie gniazdko i wychował potomstwo? Nie mogąc tego objaśnić, zmuszeni jesteśmy przyjąć istnienie u niektórych zwierząt zmysłu kierunku, pozwalającego im przekraczać granice, zakreślone znanemi i zbadanemi już zmysłami.

OPIUM I MISYE W CHINACH.

(Ciąg dalszy.)

Wiele jeszcze możnaby powiedzieć o sposobie użycia opium w Chinach. Gdy w Indyach i innych krajach bywa ono używane przeważnie w pigułkach, albo w jakimkolwiek przyjemnym i orzeźwiającym płynie, w Chinach panuje przeważnie palenie opium, które jak doświadczenie wykazało, szkodzi daleko bardziej organizmowi ludzkiemu, gdyż trujące lotne cząstki, wciągane przez płuca, dostają się niezwłocznie do krwi i systemu nerwowego. Z tego więc powodu odzwyczajenie palacza od zgubnego nałogu tem większe przedstawia trudności, chorobliwa zaś potrzeba coraz większej dozy narkotyku wiedzie niechybnie do występnych nadużyć.

3) Wprawdzie wielu podróżników utrzymywało, że palenie opium żadnych zgubnych nie pociąga następstw, atoli powyższe twierdzenie wydać się musi mylnem wobec licznych spostrzeżeń bezstronnych badaczy. Zresztą zaprzeczają temu stanowczo nawet poważne dzieła chińskich dobroczyńców ludności i mężów stanu, ostrzegających swój lud o okropnych skutkach tej trucizny. Wreszcie również wymowny dowód jej działania stanowią tak zwane odezwy czarnoksiężkie, kreślone przeciw »zachodnim szatanom«, a w których bonzowie opisują obszernie, jak cudzoziemcy starają się za pomocą tej trucizny zdenerwować ludność chińską, aby następnie z tem większą łatwością rozciągnąć nad nią swoje panowanie.

Nikt jednak nie mógł wydać w powyższej kwestyi sprawiedliwszego wyroku, niż katoliccy missyonarze, którzy spędzając częstokroć połowę życia wpo-

śród Chińczyków, wiedzą najlepiej, co stanowi największą przeszkodę w dziele nawrócenia. Wprawdzie niektóre ich sprawozdania odznaczają się zbyteczną jaskrawością barw, skoro jednak porównamy szczegóły w tej mierze nadsyłane ze wszystkich zakątków Chin i nawzajem zupełnie od siebie niezależne i przekonamy się, że głoszą one mniej więcej jedno i tożsamo, wówczas zniknie wszelka wątpliwość.

Nader obszernie po długiem badaniu pisze o kwestyi używania opium pewien misyonarz francuski Jun-Nanie. »Źródłem największej troski — mówi ten kapłan — tudzież jedną z najtrudniejszych do zwyciężenia przeszkód jest użycie, a raczej nadużycie opium, które



OJCIEC JEDZIE!

bardziej nawet, niżeli nieprzyjazne stanowisko władz rządowych, tamuje rozkrzewianie Ewangelii«.

»Z ekonomiczno-spółecznego punktu widzenia opium jest zgubne dla chińskiego mocarstwa, gdyż w niezbyt dalekiej nawet przyszłości może sprowadzić jego upadek. Jestto pewnikiem, w który nie wątpi nikt, kto był naocznym świadkiem szalonej namiętności, z jaką Chińczycy używają tej trucizny, przytępiającej wszelkie władze umysłowe i moralne«.

»Niedawno temu jeszcze zadawalniano się sprzedażą i użyciem stósunkowo niewielkiej ilości opium. Dziś, gdy w miarę wzrastającego zapotrzebowania, cena jego niesłychanie się zwiększa z każdym niemal rokiem, zaczęto uprawiać mak u siebie i szkodliwa ta roślina niweczy w krótkim przeciągu czasu najlepsze nawet grunta, które niegdyś obfite wydawały plony. Nadto opium opanowało wszystkie rynki, wpływając znacznie na podniesienie cen zboża. Skoro więc nadejdzie rok nieurodzajny, wtedy całe tysiące ludności umierają z głodu, tak, że opium może być nawet uważane jako jedno ze źródeł tak częstego w ostatnich latach niedostatku.

»Z religijnego punktu widzenia stanowi ten narkotyk nader wielką przeszkodę w nawracaniu pogan. Dopóki na tak szeroką, jak dotąd, skalę, będzie on sprzedawany, dopóki nie może być mowy o szybkich postępach świętej naszej wiary. Przypatrzmy się bliżej nieco tej kwestyi«.

»Pomijając szkodliwe własności opium ogólnie już uznane i nieulegające wątpliwości, gdyż jak to nieraz już stwierdzono, podkopują one przedwcześnie najsilniejsze nawet organizmy, zaznaczyć nam wypada, że jego użycie pociąga za sobą inne jeszcze, również zgubne następstwa.

»Palenie opium jest matką opieszałości i lenistwa, źródłem niesumiennej rozrzutności, sprowadzającej corocznie materyalną ruinę niezliczonych rodzin, a zarazem olbrzymią przeszkodę do utrzymania publicznego bezpieczeństwa, gdyż popycha wiele osób do morderstw lub kradzieży«.

»Trudno znaleść leniwszą, bardziej ociężałą i niezdolną do czynu istotę, jak nałogowy palacz opium. Cały jego tryb życia nie zawiera już w sobie nic godnego człowieka. Rano musi on wstać wcześnie i spieszyć do pracy, ale niestety, jest to niepodobieństwem, gdyż najprzód opium domaga się swych praw i odnosi przewagę nad wszelkimi innymi względami. Wieczorem orzeźwiający sen powinienby pokrzepić znużone jego ciało, ale tu znowu nasuwa się przeszkoda, przedewszystkiem bowiem o oznaczonej godzinie należy wypalić fajeczkę opium i dopiero po użyciu pewnej dozy tego narkotyku sen może skleić powieki. Często też się zdarza, że w ważnej jakiejś sprawie wypadnie odbyć podróż, od której wiele zależy. I tu znowu jednak zgubny nałóg staje na przeszkodzie, Chińczyk bowiem kładzie się na ziemi, zapala lampkę, nieodstępną swoją towarzyszkę, skręca kuleczki opium, napełnia niemi fajkę i z niewysłowioną rozkoszą pochłania szkodliwe wyziewy. Potem zapomina o wszystkiem, gdyż narkotyczny sen obezwładnia jego zmysły, wprawiając w stan zupełnego odrętwienia, z którego nic go już ocucić nie zdoła. Można wówczas nieszczęśliwego palacza wołać, potrącać, a nawet przenosić z miejsca na miejsce, on zaś z pewnością nie da najlżejszego znaku życia. Najgwałtowniejsza nawet katastrofa, jak naprzykład zawalenie się domu, lub zapadnięcie ziemi, nie zdołałaby go obudzić z takiego letargu.

»W zbydlęconym niewolniku szkaradnej tej namiętności, niema już ani odrobiny siły lub energii, na każdym zaś niemal kroku, zwłaszcza w głębi Chin, napotyka się całe gromady tych nieszczęśliwych. Od rana do wieczora w oberżach, na ulicach, przy drogach, słowem wszędzie i zawsze widzieć można ludzi, palących opium. Czy się wchodzi do domu, czy wychodzi na ulicę, wszędzie uderza wstrętny zapach szkaradnej tej trucizny.

»Palenie opium jest w Chinach na

porządku dziennym. Nietylko mężczyzni, ale nawet kobiety i dzieci używają tego narkotyku. W każdym domu, a tem bardziej w knajpach, wznosi się od rana do wieczora dym z licznych fajek, poczem wszyscy zapadają w sen głęboki, do jakich zaś występków stają się zdolni po przebudzeniu, o tem Bóg jeden wie tylko.

»Każdy przeciętny palacz poświęca corocznie na kupno opium nader pokaźną kwotę. Nie braknie i takich, którzy w przeciągu dnia jednego tracą w ten sposób od 4 do 5 marek. Chińczycy, należący do najuboższej warstwy ludności, a zatem zmuszeni zadawalniać się najgorszymi gatunkami tego towaru, wydają nań dziennie od 30 do 40 sapeków, czyli około 35 fenygów, co dla ludzi, mogących zarobić dziennie zaledwie 70 sapeków, dość wielki stanowi uszczerbek. Słowem opium jest zgubą dla większej części ludności, do chaty zaś ubogiego wnosi ze sobą nędzę i niedolę.

»Pewnego razu, przechadzając się z jednym z mych współbraci w niewielkiej wioseczce, leżącej w pobliżu miasta Tsao-Kia-In, napotkałem młodą kobietę, okrytą łachmanami i okropnie wynędzniałą.

— Ojcze — rzekła nieszczęśliwa z płaczem — prowadzę właśnie do ciebie pięcioro swoich dzieci, których sama nie mogę już wyżywić. Weźcie je, drodzy Ojcowie, abym nie była zmuszona patrzeć na ich śmierć głodową.

»Widok tych małych, biednych, wychudłych i prawie nagich istotek wzruszył nas do głębi.

— Wszak ryż w tym roku nie jest zbyt drogi — rzekliśmy obaj — dlaczegóż więc nie możesz wraz z mężem wyżywić swej rodziny?

— Ach, mąż mój, niestety, jest palaczem opium, nigdy więc nie przynosi do domu ani jednego sapeka. Często nawet się zdarza, że żąda odemnie pewnej części mego zarobku, skoro zaś mu odmówię, to mię bije... Tu gwałtowne łkanie przerwało jej słowa.

»Fakt ten, niestety, nie jest wyjątkiem, ale raczej ogólnem prawidłem, gdyż zdarza się niemal codziennie i ja sam mógłbym przytoczyć długi szereg podobnych przykładów. Wreszcie zaznaczyć należy, że nienasycona żądza zabójczego narkotyku, wiedzie częstokroć do kradzieży, a nawet morderstwa. Zwłaszcza skąpo opłacani i źle żywieni żołnierze, będący po większej części namiętnymi zwolennikami opium, stanowią istotną plagę dla całego kraju.

»Tak naprzykład w pewnej odległości od Jun-Nan-Fu, pewien misyonarz natrafił przypadkiem na posterunek żołnierski, który się stał prawdziwą bandą rozbójniczą i codziennie niemal napadał na zamożniejszych ludzi, grożąc śmiercią, jeżeli nie dadzą opium lub pieniędzy.

»Jak widzimy — pisze tenże sam misyonarz, o którym mówiliśmy powyżej — opium jest dla Chin prawdziwą klęską, gdyż nietylko wiedzie stopniowo to państwo do materyalnego upadku, ale zarazem przyczynia się w znacznej mierze do wiecznego potępienia niezliczonych dusz. Iluż Chińczyków zostałoby chrześcijanami, gdyby im zabroniono uprawiać mak i przyrządzać opium. Od nawrócenia, niestety, powstrzymuje jedynie to, że przyjąwszy chrześciaństwo, musieliby się wyrzec tego źródła bogactwa, wolą zaś raczej zgubić na wieki swe dusze, niż zaniechać uprawy maku i wyrzucić za okno ulubioną fajeczkę.

»Co do rządu, ten poprzestaje na szumnych odezwach i surowych niby, lecz w gruncie rzeczy nic nieznaczących zakazach, które już dlatego właśnie nie mogą odnieść pożądanego skutku, że sami mandarynowie tak zły dają przykład«.

(Dokończenie nastąpi.)

PIERWSZY ZĄBEK.

Krzepko i zdrowo, niby młody dąbek
Na radość matce chował się chłopczyna,
A kiedy pierwszy wykłuł mu się ząbek,
Pełna uciechy zbiegła się rodzina.

Są aż dwie babcie i dziadzio staruszek,
One siwiutkie a on jak gołąbek,
I wszyscy wielbią malca, co z poduszek
Śmieje się do nich, szczerząc pierwszy ząbek.

— I cóż to znowu za powód radości?!
Toć rzecz wiadoma, że człowiek się rodzi
Zawsze bez zębów; ale że w przyszłości
Zwykłą koleją do zębów przychodzi!...

— Tak, lecz najbliższych zachwyca i cieszy
Każdy krok nowy w rozwoju istoty
Drogiej ich sercu; a więc każdy spieszy
Zanieść jej w dani miłość i pieszczoty.

Zresztą ten, co ma jeden ząb dopiero,
Musi być celem hołdu ogólnego,
Kiedy się przy nim sami tacy zbierą,
Którzy nie mają już ani jednego!

ZMYŚLNOŚĆ ZWIERZĄT.

Od pewnego czasu świat naukowy żywo był zajęty sprawą, czy i jak dalece dadzą się rozwinąć przymioty pojętności najzmyślniejszych zwierząt. Chodziło przedewszystkiem o to, czy dar pojmowania, rozumowania nieledwie, oraz uczuciowość wrodzona pewnym zwierzętom mogą, lub nie mogą przez odpowiednie kształcenie podnieść się do wyższego poziomu, czy też pozostaną zawsze tem, czem były. Jeżeli mamy wierzyć świeżo wyszłej książce Johna Lubbocka, — osiągnął on istotnie zadziwiające rezultaty, z których zdaje sprawę w owej książce o zmysłach i inteligencyi zwierząt. Dość powiedzieć, że w ciągu niespełna roku nauczył psa swego czytać!

Sir John Lubbock siłą cierpliwości i należytego zrozumienia istoty potrafił wytresować psa do tego stopnia, iż ten wyraża mu pragnienia przy pomocy druku i znaczenie drukowanych wyrazów oraz brzmienie ich rozumie. Krótko mówiąc, Lubbock zabrał się do tresury psa swego przy pomocy trzech na początek drukowanych dużemi głoskami wyrazów: »wyjść«, »jeść«, »pić«. Trzy tabliczki z tymi wyrazami umieścił w swoim pokoju na ziemi pod ścianą i uczył psa ich znaczenia w sposób poglądowy, powtarzając brzmienie wyrazu i pokazując tabliczkę, ile razy pies skomleć poczyna, lub drapać drzwi. Kiedy pies oswoił się z tem, począł Lubbock przyuczać go, aby zamiast szczekać, lub drapać, przynosił tabliczkę z odpowiednim wyrazem i wnet zaspokajał jego życzenia. To nawet psu się podobało. Dawszy sobie radę z trzema wyrazami, Lubbock dodał czwarty, później piąty, szósty, dziesiąty, zmniejszając zarazem wymiary druku i dziś pies jego zna przeszło trzydzieści wyrazów, które czyta, rozumie i na zawołanie, lub z własnej pobudki przynosi, przekładając jednak nad wszystko wyraz »spacer«, po który co chwila biega i niesie w zębach. Czasem omyli się i jeden wyraz przyniesie zamiast drugiego, Lubbock tłómaczy mu, pokazuje, żeby się dobrze przyjrzał, co przyniósł. Pies stoi wówczas zaambarasowany, poczem nagle bierze w zęby przyniesioną niewłaściwie tabliczkę, odnosi ją na miejsce i przynosi tę, której potrzeba.

Naoczny świadek opowiada, że dziś, kiedy Lubbock wychodzi na przechadzkę, lub w odwiedziny, woła psa, aby podał po kolei kapelusz, laskę, rękawiczki itp., potem wymienia nazwisko osoby, lub miejscowości, do której się udaje i pies najdokładniej rozumiejąc,

biegnie ile sił do danego domu, zwiastując szczekaniem, że jego pan przybędzie za chwilę.

Z powodu książki Lubbocka, któremu, jak powiadam, nie mamy najmniejże widział i słyszał psa mówiącego, który około trzydziestu wyrazów całkiem przyzwoicie wymawiał, kłapiąc tylko zbyt mocno szczękami? Trudno temu dać wiarę. Leibnitz żył w zeszłym wieku.



Królowo Wszystkich Świętych, módl się za nami.

szego powodu niedowierzać, wielu badaczy dało się już słyszeć, że to nie jest bynajmniej ostatni wyraz wykształcenia psiej rasy, która drogą krzyżowania może wydać jeszcze bardziej zadziwiające rezultaty. Nie zapewniałże Leibnitz, Łatwo być więc może, że w czasie rozwijającego się stopnia ogólnej wiedzy, Leibnitz mógł zostać łatwo oszukany. Jednakowoż świeżo znowu badacz francuzki p. Meunier (Menie), który jak zapewniają zbyt jest oddany nauce, iżby

miał nieprawdę mówić, zaręcza, że także słyszał psa mówiącego, ale była to mowa bardzo niewyraźna; dźwięki wargowe nadewszystko przy najlepszej woli trudno było zrozumieć. Pies wszakże miał widoczne złudzenie, że mówi, składając w ten sposób dowód w każdym razie kiełkującej w nim zmyślności naśladowczej.

Otóż tutaj jest punkt, na który kilku badaczy nacisk kładzie, najpoważniej przypuszczając, że pies mówiący, to tylko kwestya czasu. I nie tylko pies, ale inne zwierzęta zmyślniejsze, a tresowane umiejętnie, jak pies Johna Lubocka. Panowie ci są zdania, że kilka pokoleń w tym kierunku starannie tresowanych wytworzy zwierzęta, których mózg zbogacą nowe zdolności i przymioty dzisiaj im zbywające.

Paryzcy uczeni gotowi brać się z miejsca do dzieła, mają nawet zamiar wystąpić z żądaniem niezwłocznego założenia ogrodu, dla doświadczenia rozmaitych stopni pojętności u zwierząt, gdzieby swoje studya z całą swobodą odbywać mogli.

— Ani się nikt nie domyśla — mówił w tych dniach p. Roujou, profesor wiedzy o życiu i wielki zwolennik kształcenia zwierząt, — do jakich rezultatów dojść będzie można przy pomocy hodowli.

Jednocześnie zwracają zwolennicy tej metody uwagę na to, że zwierzę nierzadko samo się kształci i do zdumiewających rezultatów dochodzi. Możemy żartować sobie z psów mówiących i czytających, ale każdy obserwował to zjawisko, że zmyślny pies często rozumie to, co się mówi. Jaką drogą do tego doszedł? Wszak mu nikt tego nie wykładał.

A dalej są psy załatwiające takie naprzykład sprawy, jak kupienie chleba u piekarza i przyniesienie go w koszu, albo przy powiedzianem sobie nazwisku osoby znajomej, biegnące do tej osoby z listem i przynoszące odpowiedzi. To są rzeczy powszechnie wiadome. W Paryżu jest przy pewnej ulicy sklep winny, w którym duży pies pełni dobrze obowiązki służącego i gdy nań pan zawoła, zbiega do piwnicy i przynosi w koszyczku bądź wino czerwone, bądź białe, flaszkę wody, butelkę piwa, według rozkazu. Ten pies nie różni się zaprawdę wiele od psa Johna Lubbocka.

Znane jest podanie, jakie przechowało się o psie Walter Scotta. Pies ten ujawniał wszelkie oznaki głębokiego wstydu, ilekroć opowiadano przy nim historyę, w której on odegrał brzydką rolę i został sromotnie skarcony. Bywały wypadki, że gdy kto zabierał się do opowiadania tej sprawy pies podbiegał ku niemu i kładąc głowę na jego kolanach i skomląc łasił się, jak gdyby prosił, żeby już tego nie opowiadać.

Pewne pismo podaje rzecz jeszcze ciekawszą; pewna kupcowa mająca psa bardzo do siebie przywiązanego, umówiła się z sąsiadką, że niby to jej psa sprzeda. Od pierwszych słów pies nastawił uszy, a widząc, że kobiety sobie ciągle jego pokazują i że sąsiadka oglądając go na wszystkie strony tak samo jak ludzie, którzy do sklepu po towar przychodzą, wyjmuje portmonetkę i zabiera się płacić, rzucił się do nóg swej pani wyjąc żałośnie, by go nie sprzedała.

A skoro już mówimy o psach, rozumiejących ludzkie mówienie, opowiedzmyż na zakończenie sprawę, o jakiej obecnie opowiadają dzienniki francuzkie. Chodzi mianowicie o psa, który przed kilku laty przybył wraz z panem swoim z Anglii do Francyi. Otóż, przy tej sposobności zrobiono wcale niezwykłe spostrzeżenie. Ów pies zazwyczaj bardzo ruchliwy i na okręcie jeszcze całkiem wesoły, z chwilą, w której wysiadł na ląd we Francyi, najzupełniej osowiał. W głowę zachodzili wszyscy, co mu jest. Trwało to jednak parę miesięcy, zaledwie powoli dawny humor począł mu wracać i z upływem roku powrócił na dobre. Co się stało? Pan jego utrzymuje stanowczo, że z chwilą, w której pies znalazł się w otoczeniu obcem i niezrozumiałem dla siebie, stracił rezon i dopiero »nauczywszy się po francuzku« dawny swój humor odzyskał.

Żart jest żartem, a ile to razy fakta tej samej natury i na pozór całkiem błahej wagi, stawały się cennemi i poważnemi wskazówkami w przyszłości?

Choćby jednak rzeczywiście miały się udać te i owe próby z zwierzętami, nigdy nie dojdzie się do tego, ażeby zwierzę co do istoty miało się zbliżyć do człowieka. Zawsze pozostanie one zwierzęciem. Człowiek jest i pozostanie panem wszelkiego stworzenia, bo jest najdoskonalszem stworzeniem, stworzonem na obraz i podobieństwo Boże. A potem posłuchajmy:

Ciało ludzkie składa się ze 150 kości i stawów i 500 mięśni i muszkułów; w żyłach jego krąży 15 kilogramów krwi (u człowieka dorosłego); serce, mające przeciętnie 15 centymetrów średnicy, uderza po 70 razy na minutę, 4,200 razy na godzinę, 35,792,000 w okresie rocznym, każde uderzenie daje impuls 44 gramom krwi; suma zatem krwi obiegłej w organizmie przez dobę, równa się 5,850 kilogramom.

Całość krwi organizmu obiega przez serce w ciągu trzech minut.

Płuca nasze zawierają w stanie normalnym 5 litrów powietrza; oddychamy przeciętnie 1,200 razy na godzinę, wydobywając ze siebie 300 litrów powietrza.

Skóra składa się z trzech warstw, których grubość wynosi 3 do 6 milimetrów; każdy centymetr kwadratowy skóry zawiera około 12,000 porów.

Czyż więc jest podobieństwem, ażeby można porównywać zwierzę z człowiekiem?

ZBIEGOWIE Z WYSPY ZACHALIN.

(Ciąg dalszy.)

Wasyl i towarzysze zaczęli rozbierać słowa starca i przyznali mu poniekąd słuszność.

— A więc przygotuj się na śmierć przez rozstrzelanie, lub do ucieczki.

Po tych słowach dało się słyszeć głośne szemranie.

— Uspokój się, Buran! wołano na starca z niechęcią.

— Bezpodstawne gadulstwo.

— Starość... nie dziw! Rozstrzelanie! Stary postradał zmysły.

— Nie postradałem zmysłów — mówił Buran gniewliwie, spluwając. — Nic nie rozumiecie!

Wam się zdaje, że tu panuje sądownictwo podobne, jak w Rosyi. Ja znam tutejsze zwyczaje, Wasyli, i zapewniam cię, że gdy sprawę oddadzą gubernatorowi okręgu amurskiego, ten bez miłosierdzia każe cię rozstrzelać, albo skaże cię z litości na »kozła«*), co jest karą jeszcze gorszą, bo po takowej się żywy nie podniesiesz. Musisz wiedzieć, kochanku, żeśmy na okręcie, gdzie prawa jest raz jeszcze tak ostrą, jak w kraju. Zresztą, róbcie jak chcecie, gdy mnie słuchać nie chcecie.

Oczy starca, pozbawione blasku wskutek życia, przepędzonego bez wszelkich radości, smaganego bezustannie ciężkim losem, spoglądały smętnie i z ponurą obojętnością.

Pomiędzy aresztantami spotyka się często praktycznych znawców prawa a jak osądzą pomiędzy sobą, tak zazwyczaj się spełnia. W tym razie zgadzali się wszyscy na zapatrywanie Burana i postanowili Wasylemu dopomódz do ucieczki. Uważają bowiem sobie za obowiązek współtowarzyszowi swemu pomagać, gdy tenże jest w kłopocie. Doręczyli mu zapasy sucharków, które zaoszczędzili w podróży i kazali mu wyszukać sobie ludzi, którzyby mu w ucieczce pomagali. Stary Buran dwukrotnie już zbiegał z Sachalinu i dla tego wybór padł natychmiast na niego. Buran

*) »Kozieł« to ławka, do której aresztanta przymocowują a następnie smagają batami, których końce zaopatrzone są w haczyki dla kaleczenia ciała.

nie protestował przeciwko temu, twierdził tylko, że podróży nie przeżyje.

— Nie jestem już tak silny, jak dawniej... i zamyślił się.

Werbuj ludzi, ciągle werbuj. Dwóch albo trzech to za mało. Ucieczka ciężka, więc dziesięciu ludzi przynajmniej będzie ci potrzeba. Ja pójdę z wami tak długo, dopóki mnie nogi nieść będą. Chodzi mi tylko o to, ażebym umarł gdzieindziej a nie na tem tu miejscu.

Buran stawał się coraz to poważniejszy a po jego bruzdami i zmarszczkami pokrytej twarzy płynęły łzy.

— Stary osłabł — pomyślał Wasyli i werbował świeżych kolegów.

Okręt tymczasem dobiegał kresu swej podróży i pewnej nocy stanął w zatoce Dué (Die), zkąd rozpoczęto aresztantów wyciągać na brzeg. Wokoło panowała nieprzenikniona ciemność, którą tylko od czasu do czasu przedarło jakie światełko. Naraz usłyszano głosy i równocześnie światła.

— Transport aresztantów?

— Tak jest.

— Tu, do siódmych koszar.

Aresztanci posuwali się w nieładzie naprzód, zdziwieni, że ich nikt nie dozoruje.

— Uciszcie się — pomruknął Buran. — Do czegóż potrzeba nam tu warty? I bez niej tu nie zemkniesz. Wyspa jest wielka i dzika. Wszędzie możesz tu z głodu umrzeć. Naokół wyspy jest morze, czyż nie słyszysz?

I rzeczywiście. Zawiał silny wiatr, latarnie poczęły migotać niepewnem światłem a od strony morza słyszeć było można rozbijanie się o skały wyspy potężnych bałwanów, których wycie równało się rykowi dzikich, zgłodniałych bestyi.

— Słyszysz to wycie? — odwrócił się Buran do Wasylego. — Przez to morze musimy się przeprawiać. Zanim jednak do tego przyjdzie, dużo jeszcze łąk, lasu i nieprzyjacielskich wart minąć musimy. Dla mnie morze zapowiada tą razą nieszczęście. Mam przeczucie, że stopa moja go nie przestąpi... Nie ujdę już z Sachalinu... Jestem stary... Dwukrotnie z niego uciekałem. Raz schwytano mnie w Błagoweczeńsku, drugi raz w głębi Rosyi — i znowu tu jestem, ażeby tu złożyć kości moje.

— A może też i nie — dodawał mu odwagi Wasyli.

— Jesteś jeszcze młody — ja za to jestem już stary i słaby. Słuchaj jeno, jak okropnie i żałośnie jęczy morze!

* * *

Wyspa Sachalin jest do ucieczki tak niepomyślna, jak rzadko, dla tego też władze wcale wartą aresztantów nie otaczają, skoro takowi przez dłuższy czas na niej przebywają i poznają ją dokładniej. Kto bowiem uciec pragnie, ten chyba musi mieć twarde usposobienie, ten przed żadnem niebezpieczeństwem się nie ulęknie. Taki zaś człowiek zemknie, choćby najbardziej był strzeżony. Kto zaś jest lękliwym, ten ani ze Sachalinu nie umknie, ani też w głąb wyspy się nie zapuści, bo umrze albo z głodu, albo przez zwierzęta leśne pożarty zostanie.

— Buranie, radź teraz — zwrócił się Wasyli do Burana w trzecim dniu ich pobytu na wyspie. Tyś pomiędzy nami jest najstarszy, więc musisz nam przewodniczyć i wydać odpowiedzie rozkazy. Pewnie musimy się przedewszystkiem zaopatrzyć w żywność.

— Cóż ja mam radzić — mówił Buran. — Ciężka to sprawa, a przytem moje lata... Sam zatem działaj, jak ci się zdaje najlepiej. Na trzeci dzień wyślą nas wszystkich do roboty. Wolno ci więc natenczas koszary opuścić. Nikt cię jednak z miechem nie przepuści. Myśl więc nad tem, jakby najlepiej zacząć.

— Myśl ty nad tem, ty znasz przecie wszystko lepiej odemnie.

Lecz Buran nic na to nie odpowiadał. Chodził tylko ze spuszczoną głową i z dnia na dzień stawał się coraz to słabszym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-S. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Co mówi zegar?

Gdy dzieci poczną mówić i myśleć, natenczas jak nieznośne muchy naprzykrzają się rodzicom najrozmaitszemi pytaniami. Wszystko je bawi, zaciekawia. Niema przedmiotu, któryby dziecku nie podpadł i nad któremby się nie zastanawiało. Jeśli rodzice i inne starsze osoby, mające dozór nad dzieckiem, mają cierpliwość, jeśli przytem mają szczerą wolę ciekawości jego zadosyć uczynić, jeśli dalej potrafią być jego nauczycielem, natenczas oddają sobie i dziecku nieocenione usługi. Kształcą w niem ducha i serce, rozwijają w niem zarodki do wszystkiego dobrego, rozpalają miłość ku Bogu i bliźniemu swemu. Dziecko słucha nieraz obojętnie napomnień i pouczeń, udzielanych mu ze strony rodziców, ale z natężoną uwagą słucha odpowiedzi na zadawane zapytania i wtedy takowa łatwiej zapuszcza korzenie w sercu jego.

Małego Stasia zajmuje nadzwyczaj zegar; ojciec pozwalał mu już często oglądać urządzenie wewnętrzne zegara, tłómaczył mu znaczenie kółek, o ile to tylko chłopiec zdołał pojąć; to wszystko jednak mu nie wystarcza, obchodzi go zupełnie coś innego. Zegarek potrafi mówić — tłómaczy sobie stanowczo. »Cóż ten zegarek kieszonkowy zawsze powiada?« pytał Stasiu ojca. »Toć słyszysz: tyk, tak robi«. »A zegar na biurku?« »Ten wybija godziny; jesteś teraz zadowolony, mały człowieku?« Stasiu jednak zadowolonym nie jest, poznać to po jego poważnej minie i potrząsaniu główką. Pragnąłby on wiedzieć więcej i coś innego; ojciec posłał go jednak dla zabawienia się do małych towarzyszy swych.

Po niejakim czasie zbliża się do Stasia posługaczka. Właśnie co tylko zegar wybił godzinę. »Zrozumiałaś, Kasiu, co on powiedział?« »O kimże to mówisz?« pyta posługaczka. »O nim, o zegarze«, mówi Stasiu i na niego wskazuje. Posługaczka z zdziwieniem wpatruje się w chłopca. »Co ci się to po głowie snuje, głuptasiu, zegar mówić nie potrafi, on wybił swe godziny i na tem koniec.«

Rozczarowany z miną niedowierzającą, odwraca się chłopiec. Znowu, jak to zwykł był czynić, stawia się przed zegar i wpatruje się badawczo w cudowny ten przedmiot. Powoli nadchodzi zmierzch i matka, skończywszy zwykłe zajęcia, usiada przy dzieciach, ażeby się z niemi pobawić. Stasiu przymila się do matki, jak może. »Mama musi wiedzieć!« myśli sobie, »ją muszę się zapytać.«

Tą razą trafił dobrze. Oko matki potrafi czytać w myślach dziecka, potrafi pytania jego zadowolnić w taki sposób, że młodziuchny umysł jego będzie miał dużo nowego do myślenia. »Tak jest, moje dziecko, masz słuszność. Każdy zegar mówi do nas, i bardzo jest dobrze, gdy sobie spamiętamy, co zegar do nas mówi. Posłuchaj zatem! Rano, gdy macie podnieść się z łóżeczka, słyszycie dźwięk zegara. Zegar powiada: »Dziękuj Bogu, który cię ochraniał i opieką Swą otaczał przez całą długą noc. Nie zapominaj, dziecko moje, dziękować Ojcu niebieskiemu w porannej modlitwie.« »A cóż on później mówi«, pytają teraz dzieci jednogłośnie. »Gdy zegar mówi »tyk, tak«, to się to nazywa: »Czas uchodzi, dla tego staraj się go wyzyskać. Wy dzieci moje kochane, wyzyskujecie najlepiej godziny dzienne, gdy jesteście posłuszne, dobre i zgodliwe. Gdy podrośniecie, mówi zegar: uczcie się pilnie! Gdy zaś będziecie dużymi ludźmi, ma was zegar nietylko uczyć wiedzieć, która jest godzina, lecz musi wam także przypominać, że we wszystkich godzinach, których nam użycza nasz Ojciec niebieski, powinnyście być dobre, pobożne i pilne, abyście, gdy nasza ostatnia wybije godzina, mogli się dostać do naszego Ojca niebieskiego. Nieprawda?« Dzieci przytaknęły główkami; przytuliły się do matki, jeden Stasiu miał jeszcze coś na serduszku. »Natenczas powiada zapewne zegar »dobranoc« wieczorem?« — pytał. »Tak jest, gdy zegar bije ósmą godzinę, a chłopczyk udaje się na spoczynek, natenczas zegar powiada: Poleć się Bogu, moje dobre dziecko! Widzisz, przez cały dzień pozwolił cię Bóg ochronić przez Swego Anioła Stróża. Jak łatwo mogłoby ci się było coś wydarzyć! Mógłbyś był łatwo upaść, skaleczyć się lub zachorować. Nigdy nie powinieneś za wszystko dobre przestać dziękować. Powinieneś Go prosić, ażeby cię chronił także i w nocy, także rodziców i rodzeństwo twoje, mój Stasiu kochany.« »Teraz się cieszę, ponieważ wiem, co zegar mówi,« mówił wesoło chłopiec, »i będę na to należycie zważał,« dodał poważnie. »Czyń to przez całe życie,

mój synku. Natenczas w całem życiu doznasz wiele błogosławieństwa!« dokończyła matka.

Z tego przykładu poznać można, jak łatwo ziarno padnie na dobrą rolę u dziecka, gdy się dziecko należycie rozumie. Dziecko słyszy i widzi inaczej jak człowiek dorosły; ma niejednokrotnie pojęcia, które ludzie krótkowidzący nazywają niedorzecznemi, nic nieznaczącemi. Wielką niesprawiedliwość czyni się małym, gdy jedynie z niecierpliwości lub wygody odprawia się je szorstką odpowiedzią lub nawet kłamstwem. Dla dobrej i sumiennej matki są właśnie te niewinne, dziecięce zapytania pożądanym środkiem do zaspokojenia żądzy wiedzy, do uszlachetnienia serca dziecka i do skierowania takowego na drogę dobrego i wszelkich cnót.

Pies mścicielem.

Przed pięciuset lat żyli na dworze króla francuskiego Karola V. dwaj rycerze, którzy nad innych odznaczali się męstwem i odwagą; jeden nazywał się Aubry, drugi Macaire. Jakkolwiek wszyscy zgadzali się na to, że ani na polu bitwy ani w turnieju nikt im obu nie wyrówna, to jednak powszechnie przyznawano pierwszeństwo Aubremu. Ten bowiem posiadał obok dzielności i męstwa także i inne umysłowe zalety, które serca ludzkie ku niemu skłaniały: był bowiem uprzejmy i usłużny, towarzyski i wesoły, a jego twarz pogodna i uśmiechnięta, jego mowa otwarta, szczera i śmiała, niemniej jak jego uczynki, świadczyły o dobroci serca i prawości charakteru. Inaczej zupełnie przedstawiał się oczom ludzkim kawaler Macaire: zamknięty w sobie, milczący, ponury i zawsze zamyślony, stronił od towarzystw i zabaw, a jeżeli się odzywał, to najczęściej z przekąsem i złośliwie. Będąc przytem sam chciwym sławy i zaszczytów, niechętnie widział, jeżeli szczęście i drugim sprzyjało. Zdawało się, jak gdyby wszystkie dobra tego świata dla siebie tylko chciał zagarnąć. Z szczególniejszą zaś zawiścią patrzał na powodzenie Aubrego, który był jego najniebezpieczniejszym współzawodnikiem na drodze do zaszczytów wojskowych.

Właśnie szczęśliwie zakończono wielką wyprawę wojenną, w której Aubry nową okrył się sławą. Król tedy za powrotem do Paryża nadał mu w obec świetnego zgromadzenia rycerzy wyższy stopień wojskowy, a nadto obdarzył go w upominku pięknie wyrobioną szpadą honorową. Kiedy Aubry, ukląkłszy na prawe kolano przed królem, z rąk jego odbierał tę świetną odznakę, stał Macaire w głębokiem sklepieniu gotyckiego okna sali z twarzą pożółkłą z zazdrości i zsiniałemi od gniewu ustami.

W kilka dni potem przez gęsty las przejeżdżał wojskowy na koniu. Głowę miał odkrytą, broń wisiała na ramieniu; w jednej ręce trzymał szyszak, który dla gorąca zdjął z głowy, drugą ręką dawał znaki pięknemu wyżłowi, co biegał naokoło i szczekał. Nagle pies zatrzymał się na jednem miejscu, jakby spostrzegł w gęstwinie lasu łanię czy sarnę. Aubry wstrzymał konia, utkwił tam wzrok i oczekiwał chwili, aż pies się ukaże. Wyżeł nagle wrócił do niego, a Aubry zauważył z podziwieniem jego niespokojne poruszenia; tymczasem z krzaków wyskoczył człowiek i mieczem bok mu przeszył. Aubry pragnął chwycić za broń, lecz napastnik zadał mu nową w pierś ranę, i Aubry spadł nieżywy z konia. Wtedy między zabójcą a psem wszczęła się zawzięta walka, w której biedne zwierzę zostało zwyciężone. Zabójca, myśląc, że pies nieżywy, rzucił go do wąwozu; potem chcąc ukryć ślad zbrodni, wykopał dół pod drzewem i schował tam trupa Aubrego. Koń uciekł i znikł.

Ale pies był tylko ogłuszony uderzeniem, zadanem mu przez Macaire'a i przyszedł do siebie, gdy zabójca odjechał. Wierny pies, nie widząc swego pana, żałośnie wyć zaczął i wkrótce doszedł węchem miejsca, gdzie pan był pochowany. Położył się tam i wyć nie przestawał. Nareszcie trapiony głodem i pragnieniem, pobiegł do Paryża i przyszedł do przyjaciela swego pana. Tam zdawało się, że wyciem chciał powiedzieć o swojej stracie; lecz go nie zrozumiano. Zaspokoiwszy głód i pragnienie, znowu zaczął wyć, poszedł do drzwi, oglądając się, czy kto nie idzie za nim; wrócił się, chwytał za suknię tych którzy go karmili i poili, ale usiłowania jego były daremne. Wreszcie sam wrócił, gdzie był Aubry pochowany.

Tymczasem zwrócono uwagę na zniknięcie Aubrego, a kiedy pies wygłodzony znowu przyszedł do Paryża, jego przyjaciele, zdziwieni niezwyczajnem postępowaniem, postanowili go śledzić. Zaprowadził on ich do lasu,

a zboczywszy nagle z drogi, zatrzymał się na tem miejscu, gdzie ziemia zdawała się być niedawno poruszoną. Pies drży, grzebie ziemię łapami i wyje. Natychmiast trupa wykopano. Rany świadczyły o przyczynie śmierci Aubrego. Morderstwo było oczywiste! Któż był zabójcą? — Napróżno domyślano się tego i nakoniec całą sprawę oddano pod sąd Opatrzności, która prawie zawsze wykrywa przestępstwa i zbrodnie.

Aubrego pochowano, psa wziął do siebie jeden z jego krewnych, z którym się odtąd nie rozstawał. Raz, przypadkiem czy też z przeznaczenia niebios, pies spotkał się z zabójcą pana swego: z wściekłością rzucił się nań i uchwycił go za gardło; odpędzono go, lecz znowu rzucał się i chciał go zagryść. Macaire zmuszony był uciekać. Od tego czasu, gdzie tylko go spotkał, rzucał się pies na niego z szaloną wściekłością. Takie napady ciągłe i uporczywe biednego wyżła, który zwykle nadzwyczaj był łagodnym, zaczęły obudzać podejrzenia.

— Kawaler Macaire — mówiono ze wszystkich stron, — nie lubił Aubrego, często okazywał ku niemu złość i nienawiść. Gdy Aubry znikł, Macaire był na urlopie. Może to on zabił Aubrego.

Te słowa i inne pogłoski doniesiono królowi, który dowiedziawszy się o uporczywości psa, chciał być świadkiem, jak napada na domniemanego zabójcę Aubrego. Kazał przywołać Macaire'a i postawił go w licznym tłumie dworzan; potem kazał wpuścić psa. Zaledwie wszedł, rzucił się na zabójcę ze zwykłą wściekłością i zdawało się, ze żałosnem szczekaniem wołał o zemstę i błagał monarchę o sprawiedliwość.

— To rzecz dziwna — zawołał król. — Niech Macaire zbliży się do mnie.

Szlachcic ukląkł na jedno kolano przed Karolem V., który dawszy znak, aby powstał, zaczął go badać.

— Obwiniają cię, żeś podstępnie zabił jednego z moich rycerzy, do którego ten pies należał.

— To jest potwarz na mnie rzucona — odpowiedział Macaire.

— Jakże wytłómaczysz zaciętość psa przeciw tobie?

— Raz pokłóciłem się z jego panem, wtedy pies rzucił się na mnie, a ja go uderzyłem. Od tego czasu złość jego przeciwko mnie objawia się przy każdem spotkaniu ze mną.

— To jest coś nadzwyczajnego! Gdzieżeś był, kiedy Aubry znikł? Dla czego byłeś niespokojnym, kiedyś wrócił z urlopu?

— Najjaśniejszy Panie! nie mogę przypomnieć sobie żadnej z tych okoliczności, lecz przysięgam na Boga, że jestem niewinny.

— Przeciw tobie świadczą pewne domysły, obawa kary przeszkadza ci przyznać się do zbrodni. Odwołujesz się do Boga, jako do świadka twojej niewinności: niech tak będzie, niech Bóg tę sprawę rozstrzygnie! Rozkazuję, abyś wystąpił do pojedynku z psem, który jak się pokazuje, ciebie zaskarża. Będą to sądy Boże.

Wówczas istniało prawo, podług którego podejrzany o przestępstwo powinien był udowodnić swoją niewinność, walcząc z oskarżycielem. Takie pojedynki nazywano sądami Bożymi. Na plac bitwy Macaire'a z psem przybył król z całym swoim dworem. Sędziowie zajęli swoje miejsca. Macaire był uzbrojony kijem grubym i ciężkim; dla psa postawiono beczkę, z której wyjęto dna i do której mógł się chować. Dano znak, aby puszczono psa. Ten rzuca się na wroga, kręci się naokoło niego, uchyla się przed jego zamachami, zagraża to z tej, to z owej strony, nakoniec kiedy Macaire już był zmęczony, chwyta go za gardło i ściska go tak mocno, że zabójca upada i błaga o litość. Potem wyznał swoją zbrodnię i został śmiercią ukarany.

Praktyczne rady.

— **Usuwanie plam rdzawych z bielizny.** Rozpuścić 4 części kwasu szczawikowego w 80 częściach wody, i ten roztwór zmieszać z 4 cz kwasu solnego, rozpuszczonemi w 12 częściach wody. Przed użyciem ogrzać płyn do wrzenia.

— **Przywrócić białość przypalonej bieliźnie.** Włożyć do garnka 90 gramów ziemi folarskiej, 30 gramów mydła i zalać to dwiema filiżankami octu, do którego dodaje się sok z trzech cebul. Gdy się mięszanina dobrze wygotuje, rozpościera się jej grubą warstwę na miejscach przypalonych, a po kilkakrotnem wypraniu, plamy znikną.

Rozmaitości.

* **Ilość zużywanego papieru** może stanowić miarę cywilizacyi danego narodu. Pierwsze miejsce zajmuje pod tym względem Anglia, gdzie na każdego mieszkańca przypada rocznie $6^1/_2$ kilogr. Potem idzie Ameryka północna: $5^1/_4$ k.; trzecie miejsce

zajmują Niemcy: $4^1/_2$ k.; czwarte: Francya $4^1/_4$ k. Daleko za nią pozostały Włochy i Austrya: 2 kil.; jeszcze mniej papieru zużywa Hiszpania: 0,85 kil., najmniej zaś Rosya, gdzie na głowę przypada tylko 0,75 k. Ogółem jest w świecie około 4,000 papierni, które dostarczają rocznie 1,450 milionów papieru. Połowę tego zużywa dziennikarstwo.

* **Fale morskie rosną w miarę**, jak się zbliżają do wybrzeża. Doświadczono, że kiedy po burzy powierzchnia wody na pełnem morzu jest tylko mocno rozkołysana, fale, pędząc ku brzegom, zamieniają się w ogromne bałwany. Rozmiary ich zmniejszają się na mieliznach. Najdłuższa fala, jaką dotąd zauważono, miała 1,150 stóp długości i przebiegała 46 mil morskich na godzinę.

* **Sir John Lubbock**, sławny naturalista angielski, badał między innemi obyczaje pająków i doszedł do przekonania, że pod względem żarłoczności przewyższają wszystkie inne stworzenia. Obrachował przytem, że gdyby człowiek miał taki apetyt, jak pająk, musiałby w ciągu dnia spożyć dwa całkowite woły, trzynaście baranów, dziesięć wieprzy i czterysta funtów ryb. Zamiast mówić: »żarłoczny, jak wilk«, powinniśmy używać wyrażenia: »żarłoczny, jak pająk«.

* **Z górnika mąż stanu** Lord Robert Cecil, obecny margrabia Salisbury, prezes angielskich ministrów ongi pracował jako robotnik w kopalniach złota w Bendigo; żaden z towarzyszy nie mógł się poszczycić taką jak on siłą. Jeszcze obecnie pokazują ubogą chatę, w której nie gdyś mieszkał dzisiejszy działacz polityczny.

* **Największy dworzec kolejowy** na świecie posiada Frankfurt nad Menem; kosztował 24,800,000 marek. Tyleż prawie wydano na wspaniały dworzec centralny w Kolonii. Prawdopodobnie jednak będą one musiały niebawem ustąpić pierwszeństwa dworcowi hamburskiemu, na którego budowę przeznaczono 34 miliony marek.

ŻARTY.

Mąż (powróciwszy późno w nocy do domu, łagodzi żonę): A wiesz ty, że mnie spotkało szczęście? Graliśmy w kręgle i wygrałem tłustego skopu.

— A gdzie go masz? — pyta żona. — Przecież go nie mógłem ze sobą zabrać, więc go sprzedałem i dobrze sprzedałem.

— A gdzie pieniądze? — pyta żona. — No z temi pieniędzmi to miałem wielkie nieszczęście — przegrałem je w kręgle.

— Izak, czy ty się nie wstydzisz chodzicz do chrześciańskiego oberzy?

— Ny, co się mam wstydzicz, to przecież wino i piwo nie są tam chrzcone.

ZAGADKI.

1.

dro	nu	wać	no	kość	ści
Po	A	ścią	szą	wio	tę
w Bo	za	Mą	sto	gu	du
czy	wać	o	pa	nąć	gą
berło	to	Ludz	nąć	miło	pia

Pojedyńcze sylaby należy tak powiązać ze sobą, ażeby utworzyć czworowiersz. W nagrodę za dobre odgadnięcie przeznaczamy książeczkę do nabożeństwa „Wiara, nadzieja i miłość“ w pięknej oprawie w cenie 4 marek.

2.

Obręcz, gieniusz, podpłomyk, sylaba, Sławuta, walka, nieznajomy, gaduła, śnieżka, całość, jestestwo, jakobini, narośl.

Powyższe wyrazy należy w takim porządku poustawiać, ażeby z pierwszych sylab utworzyć zdanie moralne. W nagrodę za dobre rozwiązanie przeznaczamy I i III rocznik „Światła.“

3.

		a	a	a		
		a	a	a		
b	b	ć	ć	d	d	g
g	g	g	i	i	k	k
ł	ł	m	m	o	o	o
		o	o	r		
		r	ś	ś		

Litery należy tak poskładać, ażeby utworzyć trzy wyrazy, które wszerz i wzdłuż równo się czytają. W nagrodę za dobre odgadnięcie przeznaczamy 1 egz. poezyi Czesława Lubińskiego pod tytułem: „Z niwy ślązkiej“ w pięknej płóciennej oprawie.

Do dzisiajszego numeru „Światła“ dołączamy prospekt, dotyczący wychodzącego w Wydawnictwie „Katolika“ dzieła „Dzieje Ślązka“: Zwracamy na niego szczególną uwagę Szanownych naszych Czytelników, prosząc o łaskawe zamówienia.



Gdzie pasterz?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.

Roczniki „Światła”

są jeszcze w zapasie i nabyć można:

Rocznik I-szy w zeszytach za 1,50 mrk., oprawny 2,50 mrk., w ozdobnej opr. 4 m.
„ **III**-ci w zeszytach za 4 m., oprawny 5 mk., w ozdobnej oprawie 6,50 mk.
„ **VII**-my w zeszytach za 4 mk., oprawny 5 mk., w ozdobnej opr. 6,50 mk.
„ **VIII**-my w zeszytach za 4 mk., oprawny 5 mk., w ozdobnej opr. 6,50 mk.
„ **II, IV, V i VI już wyczerpane.**

Na przesyłkę prosimy dołączyć w odległości do 10 mil 25 fen., w dalszej odległości do broszurowanego egzemplarza 30 fen., do oprawnego zaś 50 fen.

Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“

w Bytomiu, ulica Piekarska nr. 29.

Nowy Brewiarzyk Tercyarski

dla

Braci i Sióstr III zakonu św. Ojca Franciszka

z dodatkiem

różnych stósownych nabożeństw.

Nowy ten Brewiarzyk został wydany przez **ks. N. Bontzeka,** proboszcza Bytomskiego, i jest wydrukowany za pozwoleniem władzy biskupiej. Dotąd jeszcze nikt nie wydał Brewiarzyka, któryby był tak dogodny i praktyczny, jak niniejszy. Brewiarzyk mieści w sobie: Kalendarz rzymski, oficyum, podzielone na 3 części tj. na Adwent, Boże Narodzenie i po Bożem Narodzeniu (to oficyum jest drukowane w 2 łamach na każdej stronie). Dalej zawiera Brewiarzyk: Regułę III zakonu, kalendarz tercyarski, odpusty dla Tercyarzy, sposób obłóczyn, sposób profesyi, absolucyą jeneralną, sposób odmawiania pacierzy tercyarskich, modlitwy poranne i wieczorne, modlitwy do mszy św. zwyczajnej i żałobnej, modlitwy do spowiedzi i komunii św. i rozmaite inne modlitwy i litanie, oraz drogę krzyżową. Stron 480. — Druk jest wielki, wyraźny, a tytuły czerwonym drukiem wykonane. — Brewiarzyk został wydrukowany na papierze zwyczajnym i welinowym. Ceny są następujące:

Papier zwyczajny:		Papier welinowy:	
oprawny w pół płót. z czerw. brzeg. i futer.	1,50	oprawny w pół płót. z czer. brzeg i futerałem	1,80
z przesyłką	1,70	z przesyłką	2,00
w skórę, czerw. brzeg. z złot. tyt. i krzyżem w futer.	2,75	w skórę, czerw. brzeg z zł. tytułem i krzyżem i futerałem	3,05
z przesyłką	2,95	z przesyłką	3,25

Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.

wydało swoim nakładem i poleca:

Z PRZESZŁOŚCI ŚLĄZKA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Na pięknym papierze. — Cena bez oprawy 1,80 mrk., z przesyłką 1,90 mrk.

GABRYEL HOŁUBEK.

Powieść historyczna z XVI w.

Cena bez oprawy 1 m., z przesyłką 1,10 m.